



NASZA RODZINA



MIESIĘCZNIK PARAFII NAJŚWIĘTSZEGO SERCA PANA JEZUSA W SANOKU

Nr 78 czerwiec 2019



**NIECH CI WYSTARCZY
BÓG, ON SAM JEDEN.**

Parafialna wycieczka ministrantów i dziecięcej oazy



Czerwiec - miesiąc pełen... Serca

Maj w kościelnej tradycji poświęcony jest Matce Bożej. Maryja nie chce jednak „skupiać” całej uwagi ludu Bożego na sobie. Wiedzie go bowiem do swojego jedyne Syna. Dlatego też czerwiec poświęcony jest Jezusowi Chrystusowi, którego właśnie w tym czasie czcimy w sposób szczególny w nabożeństwach dedykowanych Jego Najświętszemu Sercu. Jest ono - jak nauczał papież Leon XIII - „symbolem i żywym obrazem nieskończonej miłości” Jezusa do wiernych.

Ojciec Święty Jan Paweł II mówił: „...przy Sercu Jezusowym serce człowieka uczy się poznawać, jaki jest prawdziwy i jedyny sens jego życia i jego przeznaczenie: przy Sercu Jezusowym serce człowieka nabiera zdolności miłowania”.

W Kościele kult Serca Jezusowego swój początek bierze w przebiciu Bożego Serca na krzyżu...

Pierwszymi, którzy uczcili to Serce byli apostołowie oraz setnik przebijający bok Chrystusa. Ojcowie Kościoła i wierni w późniejszych wiekach, przede wszystkim kontemplowali miłość Chrystusa, miłość, która zaprowadziła Go na krzyż.

Nabożeństwa czerwcowe, odprawiane w obecnej formie, pojawiły się dość późno, bo dopiero w XIX wieku. Sam kult Serca Jezusowego został już wcześniej zainicjowany przez św. Małgorzatę Marię Alacoque - francuską wizytkę. Zakonnica ta w drugiej połowie XVII stulecia doświadczyła objawień Pana Jezusa, który wzywał ją do upowszechnienia w całym Kościele nabożeństwa ku czci swojego Serca.

Kult Serca Jezusowego przybierał najrozmaitsze formy. W Polsce nabożeństwa ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa były znane najpierw w klasztorach Wizytek w Warszawie, Krakowie i Lublinie. Potem zostały zaaprobowane przez biskupa Lublina i polecane do odprawiania w jego diecezji. Następnie rozprzestrzeniły się na terenie całego kraju. Nabożeństwo czerwcowe składa się z dwóch podstawowych elementów: adoracji Najświętszego Sakramentu oraz Litanii do Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Wielkim zwolennikiem i czcicielem Serca Jezusowego był Ojciec Święty Jan Paweł II, który wielokrotnie dawał wyraz swej radości z faktu, że w Polsce ta forma pobożności jest wciąż obecna. W Elblągu w 1999 r. powiedział: „Cieszę się, że ta pobożna praktyka, aby codziennie w miesiącu czerwcu odmawiać albo śpiewać Litanie do Najświętszego Serca Pana Jezusa, jest w Polsce taka żywa i ciągle podtrzymywana”. Jest to pochwała, ale i zadanie dla nas - katolików, rodaków Jana Pawła II. Zadanie, aby te nabożeństwa przetrwały i były kulturowane przez kolejne pokolenia.

Dobiega końca miesiąc czerwiec, za kilka dni już wakacje. Czy ma to być tylko czas odpoczynku przez nie-robienie, czy też można zaplanować je i spędzić twórczo i mądrze, tak aby skorzystała na tym cała rodzina? Wszyscy wiemy o tym, że odpoczynek jest człowiekowi potrzebny – potwierdzenie tego znajdujemy już w Ewangelii, gdzie Chrystus zaleca swoim uczniom: „Pójdźcie i odpocznijcie nieco”.

W rodzinach osób wierzących byłoby dziwne, gdybyśmy zaplanowali nasze wakacje jako „odpoczynek od Pana Boga”, np. przez rezygnację z niedzielnej Mszy św. czy wspólnej modlitwy rodzinnej. Warto więc pomyśleć, aby był to czas, który zbliża naszą rodzinę do Boga, nie tylko przez udział pielgrzymkach czy nawiedzenia sanktuariów, ale także poprzez odpowiednie lektury i rozmowy. Warto też zapytać się, czy inni widząc nas na wakacjach, mogli stwierdzić, że jesteśmy rodziną osób wierzących. Czy też może zachowywaliśmy się w taki sposób i bywaliśmy w miejscach, które świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

Najważniejsze, abyśmy wrócili z wakacji nie tylko zdrowi i wypoczęci, ale także wzmocnieni duchowo oraz jako rodzina.

Z błogosławieństwem na czas wakacji, urlopów i wypoczynku

ks. Piotr Buk - proboszcz

Dom dla dzieci z Adopcji Serca

Adopcję Serca na Cabo Verde rozpoczęliśmy w 2008 roku, organizując pomoc małej grupie dzieci z Mindelo. Dziś docieramy do dzieci z pięciu wysp: Sao Vicente, Santiago, Santo Antão, Boa Vista i Sao Nicolau. Każdą wyspę staram się odwiedzić przynajmniej dwa razy do roku, spotykam się wtedy osobiście z dziećmi i ich rodzinami, by porozmawiać i zobaczyć, jak żyją. Wizyty, które wiele mówią. Te wizyty, choć często krótkie, poma gają mi dostrzec wiele trudności i problemów, z którymi Afrykańczycy borykają się na co dzień. Są to głównie problemy dotyczące rodziny, wychowania i edukacji. To bardzo smutna rzeczywistość, szczególnie, gdy dotyka najmłodsze dzieci, dlatego wspólnie z ks. Jose Julio Fortesem, proboszczem parafii św. Antoniego das Pombas, postanowiliśmy wybudować w Paul przedszkole, świetlicę oraz sale katechetyczne.

Przedszkole

Przedszkole będzie służyło najmłodszym dzieciom, które często nie mają spokojnego, beztrudnego i radosnego dzieciństwa. Ufamy, że dla wielu z nich będzie ono miejscem, gdzie znajdą miłość, troskę i bezpieczeństwo oraz gdzie poczują się ważne, potrzebne i kochane. Początkowa edukacja, którą tu otrzymają, pomoże im od najmłodszych lat kształtować swoje przyszłe życie.

Świetlica

Świetlica będzie służyła nie tylko do organizacji spotkań, ale także na dodatkowe lekcje, które już od kilku lat prowadzimy dla dzieci mających trudności w nauce. Wiele z nich ma problemy z nauką nie tylko z powodu braku troski ze strony rodziców, którzy aby utrzymać rodzinę całymi dniami zajmują się pracą, ale także z powodu braku odpowiednich warunków do

nauki w domu. Często spotykam sytuacje, gdy w domu nie ma stołu i krzesła, żadnego miejsca, gdzie dziecko mogłoby usiąść i odrobić lekcje.

Sale katechetyczne

Sale katechetyczne będą szczególnym miejscem zaspokojenia największego głodu, który mieszkańcy Paul noszą w swoich sercach - głodu miłości Boga i drugiego człowieka. Stawiamy na katechezę, bo wierzymy, że w ten sposób wiele rodzin będzie mogło pogłębić swoją wiarę. Od początku mojej misyjnej posługi doświadczam wielu małych i wielkich cudów. Są one związane z najmłodszymi mieszkańcami Cabo Verde i ich rozwojem, nie tylko intelektualnym, ale przede wszystkim duchowym. Z roku na rok wzrasta liczba dzieci przystępujących do sakramentów świętych: chrztu, komunii świętej i spowiedzi.

Wspólna radość

To, że tak wielu ludzi przyjmuje Jezusa do swojego życia, jest moją największą radością. Pragnę, by ta moja radość była także i Waszą, bo to wszystko dokonuje się dzięki Waszym dobrym sercom. W mojej misyjnej posłudze spotykam się z ogromną wrażliwością i pomocą wielu osób, które nie mogą bezpośrednio wyjechać na misje, ale poprzez włączenie się w dzieło Adopcji Serca, wspaniale realizują swoje misyjne powołanie. Niech Pan Bóg błogosławi i strzeże każdego z Was! Niech radość i szczęście adoptowanych dzieci będzie również Waszą radością i Waszym szczęściem. Serdecznie pozdrawiam i zapewniam o mojej modlitwie.

s. Jolanta Burdak SSPC

Mindelo, Cabo Verde

Siostry, które dzielą misyjne radości i troski

/list misjonarza z naszej archidiecezji/

W 2015 r. roku zgłosiłem swoją gotowość do wyjazdu na misje i rozpocząłem roczne przygotowanie w Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie.

Pierwszy kontakt z siostrami

Pół roku później skontaktował się ze mną misjonarz z Archidiecezji Przemyskiej, pracujący w Ekwadorze, ks. Zdzisław Rakoczy, którego wcześniej nie znałem. Wiedział, że przygotowuję się do wyjazdu na misje do Ekwadoru i poprosił mnie o pomoc w realizacji projektu misyjnego, dotyczącego zakupu nagłośnienia do jego kościoła. Ksiądz Rakoczy zwrócił się o pomoc finansową do sióstr klawerianek. W związku z tym, że byłem jeszcze w Polsce, pomagałem mu w załatwieniu tej sprawy i w ten sposób dowiedziałem się o Siostrach Misjonarkach św. Piotra Klawera oraz ich charyzmacie wspierania misjonarzy – materialnie i duchowo.

Wsparcie projektów misyjnych

W 2016 roku wyjechałem na misje do Ekwadoru i zostałem skierowany do parafii Tundayme, w Wikariacie Apostolskim Zamora, w której praktycznie wszystko należało zaczynać od początku. Przy kaplicy istniał opuszczony punkt katechetyczny. Znając już charyzmat sióstr klawerianek, zwróciłem się do nich z prośbą o wsparcie materialne, aby wspólnymi siłami zaadaptować ten budynek na potrzeby katechezy. Udało nam się również stworzyć biuro parafialne oraz pokój mieszkalny dla księdza. W 2017 roku zostałem skierowany do parafii Valladolid, gdzie trwał rozpoczęty projekt budowy sal katechetycznych. Również wtedy mogłem liczyć na wsparcie sióstr klawerianek i pomoc finansową w budowie.

Most, który łączy

Kiedy przyjechałem na urlop do Polski, odwie-

-dziłem siostry w Krośnie. Zostałem gościnnie przyjęty i mogłem czuć się jak w domu. Gdy zaś jestem w Ekwadorze, siostry mają ze mną stały kontakt in-ternetowy. Śledzą na bieżąco różne wydarzenia w mojej misyjnej parafii i zawsze zapewniają mnie o wsparciu duchowym oraz pamięci w modlitwie. Z mojego, choć krótkiego doświadczenia misyjnego, mogę powiedzieć, że doświadczyłem, jak ważny jest dla misji Kościoła charyzmat sióstr klawerianek. Siostry są „mostem”, który łączy misjonarzy i ludzi wśród których pracują, z osobami, które w duchowy i materialny sposób wspierają misje.

W stałym kontakcie

Dzięki siostram klaweriankom miałem również okazję wiele razy podzielić się świadectwem pracy misyjnej na łamach „Echa z Afryki i innych kontynentów”. Za pośrednictwem sióstr artykuły oraz relacje w Internecie, w których staram się dzielić różnymi wydarzeniami z życia mojej misyjnej parafii, a także ważnymi dla nas sprawami, docierają do dużej grupy przyjaciół misji. Często siostry pytają mnie: „Jak się ksiądz ma?”, „Jak się mają księżda parafianie”? Takie pytania są bardzo ważne w życiu każdego misjonarza.

Pomoc materialna dla misji jest konieczna, ale o wiele ważniejsza jest świadomość, że w Ojczyźnie są ludzie, którzy pamiętają o nas misjonarzach, są w stałej łączności duchowej z nami i dzielą nasze radości i troski. Taka łączność jest wielką siłą dla każdego misjonarza, który nie zostaje sam w swojej misyjnej pracy, ale jest ciągle wspierany obecnością wspólnoty.

*ks. Łukasz Hołub
Zamora, Ekwador*

Moc z wysoka

„A ile dywizji ma papież ?” - zapytał na konferencji w Poczdamie arcykapłan nowej, marksistowskiej wiary, Józef Stalin. Niepotwierdzone źródła podają, że papież, gdy o tym usłyszał, odpowiedział: „Powiedzcie mojemu synowi Józefowi, że spotka moje dywizje w życiu wiecznym”. Stalin o prawdziwości tej odpowiedzi przekonał się już w 1953 roku, kiedy opuścił nieodwołalnie ten świat, który usiłował zawojować.

Czy jednak wyrównanie rachunków musi zawsze nastąpić dopiero po tamtej stronie ? Czemu Pan Bóg tak bardzo unika bezpośrednich interwencji w nasze życie, pozwalając na sukcesy zła ? Ten zarzut stawia wiele osób, które twierdzą, że z tego powodu rozczarowały się do chrześcijaństwa i do Kościoła. Nie do wszystkich przemawia argument, że może po prostu Bóg, jak każdy kochający ojciec, bardzo rzadko używa przemocy wobec swoich dzieci.

Stalin, który przez pewien czas studiował by zostać prawosławnym księdzem, zapewne miał jakieś pojęcie o przebrzmiałej jego zdaniem, chrześcijańskiej nauce. Może słyszał o bezpośrednich interwencjach Pana, choćby wobec Asyryjczyków, kiedy to „[Tejże samej nocy] wyszedł Anioł Pański i pobił w obozie Asyryjczyków sto osiemdziesiąt pięć tysięcy. I oto rano, gdy trzeba było wstawać, wszyscy oni byli martwi.” (Iz 37,36). Przyjmuje się, że żołnierzy Asyryjskich mogła wykończyć zaraza, ale i tak zdarzenie miało bardzo nadzwyczajny charakter. Skoro pojedynczy Anioł Pański dysponuje tak wielką mocą, jak można sobie wyobrazić możliwości „więcej niż dwunastu zastępów aniołów”, o których interwencję Jezus mógłby, gdyby zechciał, poprosić Boga Ojca ?

Ustrój zbudowany i wyeksportowany na wielkie obszary naszego globu przez Stalina i jego następców miał się zupełnie dobrze, gdy z kraju rządzonego przez komunizm Duch Święty, jak wie-

rzemy, wybrał sobie nowego papieża. A kiedy, dokładnie 40 lat temu, kończyłem ósmą klasę, papież ten przyjechał po raz pierwszy z pielgrzymką do Polski. Miałem szczęście brać udział w niektórych wydarzeniach tej wizyty. Pojechaliśmy z moją mamą na dwa dni do Krakowa. Ojciec, który był wtedy kierownikiem w dużym zakładzie, mimo nacisków udzielił urlopu na wyjazd do Krakowa wszystkim swoim pracownikom, którzy o to prosili. Sam natomiast urlopu nie dostał. Z mamą byliśmy dwa razy na Plantach pod papieskim oknem, a potem na mszy świętej na Błoniach. Czuliśmy, że Jan Paweł II przyjechał do Polski obudzić naród, a może całą środkowo-wschodnią Europę i widzieliśmy, jak to przebudzenie następowało. Rok później powstanie i rozwój Solidarności w Polsce zainicjowały nieodwracalne zmiany w systemie tamtego, „starego” marksizmu. Działania wielu dzielnych ludzi na całym świecie, w tym przywódców wolnych narodów, doprowadziły ostatecznie do rozpadu i w większości do upadku bloku komunistycznego.

Socjologowie zwracali uwagę na efekt „policzenia się” milionów ludzi na papieskich zgromadzeniach. Wizjonerzy sugerowali, że ruch solidarnościowy, będący próbą praktycznego zastosowania miłosierdzia w życiu społecznym, może być właśnie tą iskrą siostry Faustyny, która miała wyjść z Polski i przygotować świat na Paruzję (Dz. 1732). Uważam, że powyższe wyjaśnienia mają wiele sensu, jednak w moim przekonaniu pierwotna prawda tamtych wydarzeń jest znacznie prostsza, budząca zarazem zachwyt i grozę.

Określenie „bierzmowanie dziejów” nie jest przesadzone. Papież naprawdę, w wigilię święta Zesłania Ducha Świętego poprosił o interwencję Wszechmogącego Boga w Osobie Ducha Świętego i On na wezwanie swojego namiestnika na ziemi ... przybył.

Jeśli nie znasz Chrystusa

Któż może wiedzieć, czy „więcej niż dwanaście zastępów aniołów” to nie byli po prostu aniołowie stróżowie, przez których Pan wlał cnotę odwagi w serca Polaków tamtego czasu. Przełom nastąpił, a reszta jak mówią jest historią, choć dla mnie ta historia pozostanie przede wszystkim wspomnieniem zdumiewającego zdarzenia z młodości, kiedy wiatr się odwrócił.

Dziś mamy zupełnie nową sytuację, w nowym, wspaniałym jakby się wydawało świecie. Nie możemy jednak zapomnieć, że marksistowska idea nie umarła z upadkiem światowego systemu komunistycznego. Ona tylko zmieniła formę i przedmioty swojego „kultu”, ale nie najważniejsze metody i ostateczne cele. Osobny artykuł byłby potrzebny, aby opisać mniej istotne różnice i bardzo istotne podobieństwa współczesnego marksizmu kulturowego do tamtego starego, który moglibyśmy nazwać wojennym albo sowieckim. Tu wspomnę, że zdumiewająco podobnie do starego marksizmu, ten nowy nienawidzi Chrystusa, chrześcijańskich wartości i Kościoła. Nienawidzi tego wszystkiego, o czym po-

ucza nas Duch Święty. A my mamy podobny wybór, jak czterdzieści lat temu. Albo pójdziemy za wołaniem świata, albo pozwolimy, aby po raz kolejny zstąpił na nas Duch Boży i odnowił nas.

Wróćmy do Dzienniczka siostry Faustyny. Wspomniany już ustęp 1732 daje nam, Polakom szczególną nadzieję, ale nie zapomnijmy o tym, jak brzmi w całości. „Polskę szczególnie umiłowalem, a jeżeli posłuszna będzie woli Mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotowuje świat na ostateczne przyjście Moje.”

„Jeżeli posłuszna będzie woli Mojej”. Oferta jest przejrzysta i pasuje do nowych czasów nie mniej niż do tych sprzed upadku komunizmu. Jest też zarazem bardzo obiecująca i równie wymagająca. Obyśmy nie przeoczyli warunku, który musimy spełnić z naszej strony. Czas jest krótki, ale koniec historii jeszcze nie nastąpił.

Piotr Jungiewicz



Bóg krzyczy.

Cuda eucharystyczne w Polsce i na świecie

„Gdzie jesteś? Daj jakiś znak!”. Współczesnym ludziom, również chrześcijanom, mocno tkwiącym w świecie doczesnym i materialnym, niełatwo uwierzyć, że Bóg jest „Bogiem-z-nami”, że „w Nim żyjemy, poruszamy się, jesteśmy”. Żądają więc znaków, czasem rozpaczliwie. I Pan w swojej dobroci je daje, szczególnie w naszych czasach.

Dowodem tego są choćby cuda eucharystyczne, poprzez które Jezus budzi nas z duchowego letargu i wzywa do wiary w Jego rzeczywistą obecność w Eucharystii. Czyni tak szczególnie w epokach, kiedy słabnie lub zanika wiara. Pewnie dlatego w ostatnich latach mamy dosłownie „wysyp” wydarzeń, które Kościół po dokładnym przebadaniu uznał za cuda. Zastanawiające, że aż dwukrotnie doszło do nich w Polsce i to w ciągu krótkiego czasu.



Zaledwie trzy lata temu, w kwietniu 2016 roku, został ogłoszony eucharystyczny w Legnicy na Dolnym Śląsku. Upublicznienie informacji poprzedziły trzy lata obserwacji, analiz i badań. Wszystko zaczęło się w dzień Bożego Narodzenia 2013 roku, w kościele św. Jacka w Legnicy. Ksiądz niechcący upuścił Hostię podczas rozdawania Komunii świętej. Zgodnie z zasadami podniósł ją, umieścił w kielichu i schował do tabernakulum. Zwykle po kilku dniach komunikant całkowicie rozpuszcza się w wodzie. Tymczasem, z niewiadomych przyczyn, Hostia nie zmieniła swojej postaci, a 4 stycznia kapłani zauważyli czerwone przebarwienie na części powierzchni. Po dwóch tygodniach Hostia rozpuściła się, została tylko jej przebarwiona część, która wyglądała jak skrzep o wymiarach 1,5 x 0,5 cm. Wyjęto go z wody, umieszczono na korporale i schowano w tabernakulum. Miejscowy biskup powołał komisję, aby zajęła się wyjaśnieniem tajemniczego zjawiska.

Pobrane próbki badali naukowcy z dwóch ośrodków: Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, a następnie Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, którą kieruje wybitny patomorfolog prof. Mirosław Parafiniuk. Szczecińska placówka posiada najnowocześniejszy sprzęt, który umożliwia m.in. identyfikację genetyczną ludzkich szczątków. To właśnie tam ustalana jest tożsamość bohaterów narodowych – polskich żołnierzy i patriotów – mordowanych w czasach niemieckiego i sowieckiego terroru.

Naukowcy byli w szoku. Wyniki badań przeprowadzonych przy pomocy mikroskopu UV, wyposażonego w specjalne filtry, nie pozostawiały wątpliwości, że mają do czynienia w tkankę mięśnia sercowego w momencie agonii. W orzeczeniu Zakładu Medycyny Sądowej czytamy:

„W obrazie histopatologicznym stwierdzono fragmenty tkankowe zawierające pofragmentowane części mięśnia poprzecznie prążkowanego (...). Całość obrazu (...) jest najbardziej podobna do mięśnia sercowego (...) ze zmianami, które często towarzyszą agonii. Badania genetyczne wskazują na ludzkie pochodzenie tkanki”.

Cud eucharystyczny wydarzył się także w Sokółce na Podlasiu, w październiku 2008 roku. Scenariusz był podobny: upuszczona niechcący Hostia, którą umieszczono w wodzie i na której pojawiły się niewytłumaczalne zmiany: krwawiący fragment ciała. Po trzyletniej weryfikacji, 2 października 2011 roku, cudowna Hostia została publicznie pokazana wiernym podczas uroczystości w parafii św. Antoniego w Sokółce.

Pobrane próbki badali naukowcy z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku: prof. Sobaniec-Łotowska i prof. Sulkowski – wysokiej klasy specjaliści o niepodważalnym dorobku naukowym, znani w Polsce i poza jej granicami. Obserwowane pod mikroskopem fragmenty bez wątplenia były tkanką mięśnia sercowego i wyglądały jak próbka pobrana z serca żyjącego człowieka w stanie agonii. Ponadto Hostia wespół z tkanką mięśniową stanowiła tak integralnie połączoną strukturę chleba i ludzkiego ciała, że sztuczne wykonanie takiego połączenia byłoby absolutnie niemożliwe, nawet w najnowocześniejszym laboratorium świata.

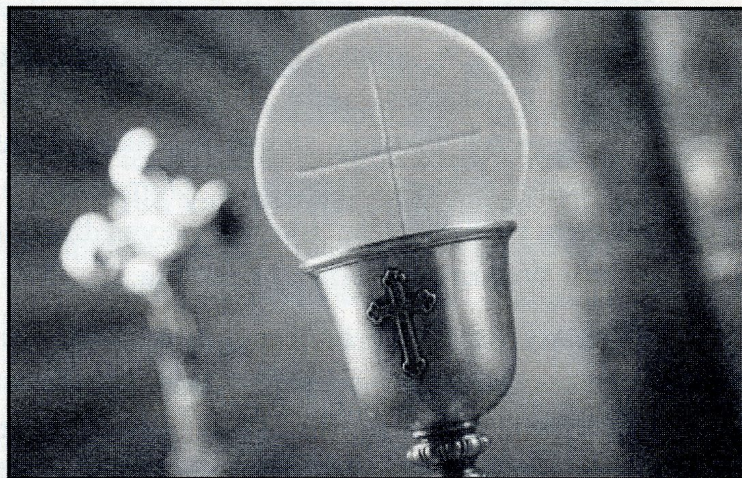
I jeszcze cud w Buenos Aires w Argentynie, w Ameryce Południowej. W 1996 roku, znaleziona w kościele sprofanowana Hostia również – zamiast rozpuścić się w wodzie – zamieniła się w krwawiącą substancję. Przez trzy lata sprawę trzymano w tajemnicy, obserwując zjawisko. W 1999 roku na polecenie kardynała Bergoglio – dzisiejszego papieża Franciszka – naukowcy pobrali z Hostii próbkę i przekazali do laboratorium w Nowym Jorku. Badaczy amerykańskich celowo nie poinformowano o pochodzeniu materiału, aby niczego nie sugero-

wać. Szefem ekipy był dr Frederic Zugibe, znany nowojorski kardiolog i patolog medycyny sądowej. Analizy wykazały, że badana substancja jest ludzkim ciałem i krwią, w której obecne jest ludzkie DNA.

Słowa dr Zugibe – które przytacza ks. M. Piotrowski, redaktor naczelny czasopisma „Miłujcie się” w jednym z artykułów na portalu www.deon.pl – wręcz powalają na kolana: „Badany materiał jest fragmentem mięśnia sercowego znajdującego się w ścianie lewej komory serca, z okolicy zastawek. Ten mięsień jest odpowiedzialny za skurcze serca. Trzeba pamiętać, że lewa komora serca pompuje krew do wszystkich części ciała. Mięsień sercowy jest w stanie zapalnym, znajduje się w nim wiele białych ciałek. Wskazuje to na fakt, że to serce żyło w chwili pobierania wycinka. Twierdzą, że serce żyło, gdyż białe ciała obumierają poza żywym organizmem, potrzebują go, aby je ożywiały. Ich obecność wskazuje więc, że serce żyło w chwili pobierania próbki. Co więcej, te białe ciała wniknęły w tkankę, co wskazuje na fakt, że to serce cierpiało – np. jak ktoś, kto był ciężko bity w okolicach klatki piersiowej”.

Czy w świetle powyższych faktów możemy powiedzieć, że „Bóg milczy”? Wręcz przeciwnie, Bóg dziś „krzyczy”. W dobie globalizacji i cyfryzacji nie ma problemu z dotarciem do informacji. Tylko czy chcemy wiedzieć, zrozumieć, uwierzyć?

(j)



KAPLICZKI - LEŚNE ŚLADY WIARY

„Gada do ciebie bór, jak żyw – bez mała,

Słowami gada nad wszystko tajemni...

A miałbyś czysty duch onego czasu,

To i głos Boga posłyszałbyś z lasu”

M. Konopnicka „W puszczy”

Las to nie tylko drzewa. Każdy, kto zna las głębiej wie, że kryje on wiele cmentarzy, pól bitewnych i miejsc związanych w przeszłości z ludzką działalnością. Często jedynym śladem po tych zdarzeniach są leśne kapliczki i krzyże o których pochodzeniu czasem już nikt nie pamięta. Wiele tych obiektów małej architektury zostało w przeszłości bezmyślnie zniszczonych. Bywało też odwrotnie, że likwidacja kapliczki była sprawą przemyślaną i celową. Czasem tylko interwencja miejscowego leśnika ratowała jej byt. Te, które przetrwały, dzisiaj, często odnowione, cieszą oko i poruszają serce przechodzących ludzi. Na terenie miasta Sanoka jest wiele kapliczek i krzyży, które wpisują się w krajobraz naszego miasta i świadczą o tradycji i żywej wierze przodków tutaj żyjących i tworzących historię naszej okolicy. Bogatą i ciekawą historię ma Kaplica „Pod Gajem” w Olchowcach.

Mało kto wie, że kaplica znajdująca się tuż za sanockim skansenem, na obrzeżu lasu państwowego, zwana przez miejscowych „Pod Gajem”, nosi w sobie piękną ale i tragiczną historię z czasów, gdy pod Białą Górą w Olchowcach działało słynne w całej Polsce sanatorium doktora Stanisława Domańskiego. W latach 1928-1939 po zdrowie przyjeżdżali tu goście z Warszawy, Lwowa i Krakowa.

Wszystko zaczęło się od tego, gdy młody lekarz Stanisław Domański, przybywszy w 1913 roku z dalekiej Kołomyi, pojął za żonę córkę właściciela dworu w Olchowcach. Od razu też

postanowił, że w tej przepięknej okolicy wybuduje zakład leczniczy o charakterze sanatoryjnym.. Dokupiwszy kilkaset hektarów lasu i gruntu ornego, wznosił wspaniały budynek o 29 pokojach gościnnych, z gabinetami zabiegowymi, salą operacyjną oraz salami zabiegowymi z okładami borowinowymi włącznie. Podwaliny ułożono w 1924, zaś w 1928 roku sanatorium przyjęło pierwszych gości – przyjechali oni z Warszawy. Jak na owe czasy, była to luksusowa klinika, w której dzienny pobyt kalkulowany był na 15 ówczesnych złotych. Leczone tu głównie choroby serca i układu krążenia, choroby kobiece i gościec. W dniu otwarcia obiektu ks. Wieszcak, katecheta z Sanoka poświęcił też kaplicę wybudowaną powyżej sanatorium jako miejsce modlitwy dla kuracjuszy. Sama kaplica doskonale wkomponowana w otoczenie, stanowiła zapewne ważny element psychoterapii dla kuracjuszy. Zbudowana została na planie prostokąta z wychodzącym przed wejście, opartym na dwóch słupach zadaszeniem, zaś na frontonie wykonana została piękna płaskorzeźba Chrystusa ukrzyżowanego w otoczeniu Matki Bożej i św. Jana. Dzieło to przetrwało wszystkie przetaczające się tędy zawieruchy. Kaplica utrzymywana była w idealnej czystości, również przez dzieci doktora. Jego córki miały obowiązek w każdą sobotę sprzątać tu i ustawiać świeże kwiaty. Zamontowany na małej wieżyczce dzwonek przywoływał na niedzielną Mszę św. o godz. dziewiątej. Z Sanoka przyjeżdżał tu ksiądz, by dla chętnych odprawić nabożeństwo. Tak było do września 1939 roku, kiedy to doktor Domański, jako kapitan armii polskiej, został powołany na front. Dostawszy się do niemieckiej niewoli, kilka lat spędził w oflagach Murnau i Zwickau. Odjeżdżając na front, kazał swej rodzinie przenieść się z domu w Sanoku do sanatorium, gdzie miało być bezpieczniej.

Tymczasem po 17 września 1939 r. San rozdzielił Sanok od Olchowiec, stając się granicą pomiędzy Generalną Gubernią a Rosją Radziecką. Żona doktora wraz z dziećmi po osłoną nocy przekradła się przez San do miasta i tu pozostała przez cały okres okupacji. Sanatorium zostało zajęte na koszary dla sowieckich pograniczników, którzy urządzili sobie w nim również składy umundurowania. Z tego okresu znane są tragiczne fakty strzelania do ludności przechodzącej przez San. Pewnego razu tuż przy kaplicy zamordowano dwóch Polaków, wśród których mieszkający niedaleko Tadeusz Poznański, rozpoznał swojego przyjaciela Gębalika z Lisznej. Ciała nieszczęśników rzucono przy wejściu do kaplicy, wówczas zamienionej już na warsztat szewski przez rosyjskich żołdatów. Ci właśnie „szewcy” spalili piękny drewniany ołtarz i figurę Matki Bożej zajmującą w nim centralne miejsce. Przyjaźń rosyjsko-niemiecka przetrwała tylko do czerwca 1941 roku. Wtedy to Niemcy ruszyli na podbój Rosji. Kilka zapalających pocisków wystrzelonych z Parkowej Góry w Sanoku w kierunku doskonale widocznego budynku sanatoryjnego spowodowało potężny pożar – długo płonęły walonki, papachy i kufajki złożone tu przez czerwonoarmiejców na letni sezon. Wypaliło się tym samym całe wnętrze i wyposażenie obiektu. Tymczasem kaplica, o dziwo, ucierpiała, ale ocalała, wciąż pozostając obiektem kultu dla kilkunastu okolicznych mieszkańców. Zaraz po wojnie wrócił dr Domański, ale sanatorium już odbudować mu nie pozwolono. Należy wspomnieć, że wykonany wówczas wodociąg wciąż służy mieszkającym w okolicy ludziom. Doktor Domański, dopóki żył, zaglądał jednak „Pod Gaj” na swoje włości. Swego czasu powierzył nawet Tadeuszowi Poznańskiemu remont fragmentu dachu kaplicy. Stała się ona przez długi czas samotnym świadkiem dawnej świetności olchowickiego uzdrowiska. Końcem lat 80. XX wieku Nadleśnictwo Brzozów nabyło od spadkobierców dra Domańskiego 48 ha lasu, wraz ze stojącą na jego skraju kaplicą. Od tej pory znalazła się ona w oddziale leśnictwa Liszna. Leśniczy Marek Wilk postanowił odsłonić świątynię, gdyż

w ciągu lat powojennych obrosła ona krzewami a rośliny zielone wdzierały się już niemal na schody. Miejscowi mieszkańcy jak zawsze przychodzą tu pomodlić się, przynoszą kwiaty i sprzątają. Leśniczyna Grażyna Wilk co roku tradycyjnymi metodami pierze i krochmali oryginalny, pochodzący jeszcze z lat przedwojennych obrus, przykrywający stolik w ołtarzu. Wiosną 2008 roku nadleśnictwo zaplanowało gruntowny remont kapliczki; uzupełnienie więźby dachowej i pokrycia, renowację tynków i uporządkowanie otoczenia. Na hasło „wyremontujemy kapliczkę w podsanockich Olchowcach”, które rzucili leśnicy z Nadleśnictwa Brzozów włączyły się władze miasta, dyrekcja sanockiego skansenu a także wiele życzliwych ludzi. Owocem ich starań, prac i dofinansowania był piękny prezent w postaci odrestaurowanej kapliczki o jaki postarali się podkarpaccy leśnicy z okazji obchodzonego od 1933 roku dorocznego Święta Lasu które odbyło się w 28 czerwca 2012 roku. W uroczystej polowej Mszy św. której przewodniczył ks. Robert Wyczawski, proboszcz Parafii Wniebowstąpienia Pana Jezusa w Olchowcach, odprawionej właśnie przy tej kapliczce uczestniczyło wielu sanoczan, gości: wśród nich władze miasta i powiatu a nade wszystko dyrektor RDLP w Krośnie, nadleśniczy z podległych dyrekcji nadleśnictw, prezesi kół myśliwskich oraz przedstawiciele służb mundurowych. Ks. Jacek Michno, który wygłosił homilię, m.in. dziękował Panu Bogu za dar leśników w postaci tak pięknie odrestaurowanej kapliczki i zachęcił do odwiedzania tego niezwykłego miejsca ze swymi rodzinami i gośćmi. Prosił by mówić o ludziach, którzy na Bożą chwałę kiedyś zbudowali tę kapliczkę a także o tych, którzy po latach przywrócili jej piękno dzięki czemu stanowi część naszego dziedzictwa kulturowego i religijnego. To cudowne, niepowtarzalne miejsce tętni osobliwą atmosferą i modlitwą a odwiedzający kapliczkę „Pod Gajem”, która jest perełką kultury sakralnej mogą odnaleźć tutaj ślady wiary naszych przodków.

Halina Martowicz

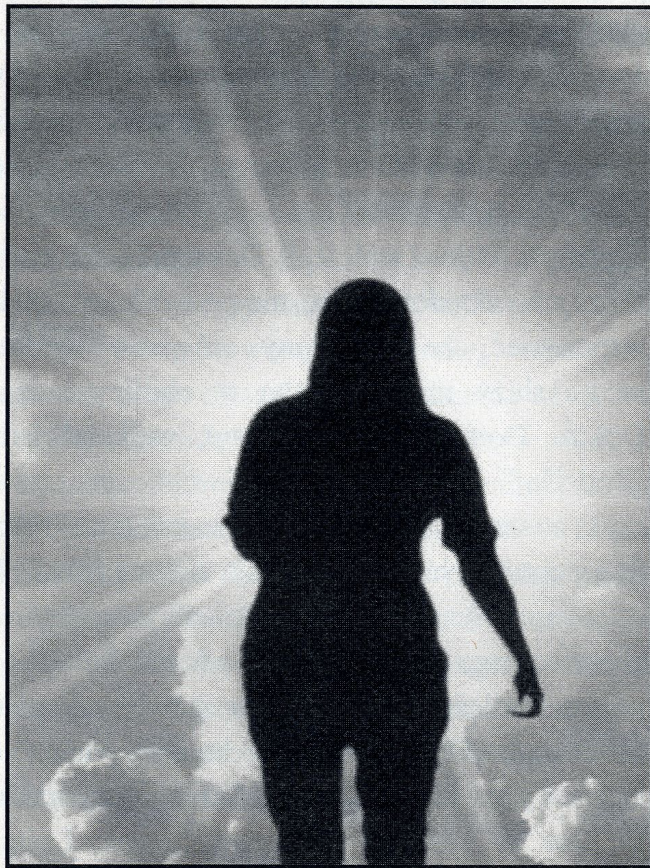
Zamęt

Człowiek postawił siebie w centrum. Siebie uwielbia, swoją mądrością się zachwyci, swoje zdolności wychwala, swą urodą czaruje. Sam się uzdrawia, sam sobie pisze prawo, sam ustanawia zasady moralne. Zrzucił Boga z ołtarza i wygramolił się tam sam, wabiąc innych czczymi obietnicami. Zrobił z siebie boga i naucza innych jak mają żyć. Jaką prawdę głosi? Własną. Na czym opartą? Na własnym rozumie. Co chce osiągnąć? Zwykle własny dobrobyt. Co może dać i na jak długo? Niewiele i na ograniczony czas, ziemski. Chce zastąpić Boga we wszystkim ale niestety, jego możliwości są ograniczone. Nie ma potrzeby nic wymyślać, wszystko zostało już dane człowiekowi i objawione, w tym jedna najistotniejsza rzecz. Dane zostało coś, czego żaden człowiek nie może dać – życie wieczne. Bo cóż może dać drugi człowiek. Zapewne wiele. Miłość, szacunek, czułość, bezpieczeństwo, przyjaźń, wsparcie, pomoc, utrzymanie... Ale to się kończy i umiera wraz z człowiekiem. Jednego nie może dać – życia wiecznego. W tej kwestii jedynie może pomóc je osiągnąć ale to wszystko. Bóg jest w stanie to dać. Oczywiście my musimy chcieć to wziąć. „A spośród Jego uczniów, którzy to usłyszeli, wielu mówiło: «Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?» Jezus jednak świadom tego, że uczniowie Jego na to szemrali, rzekł do nich: «To was gorszy? A gdy ujrzycie Syna Człowieczego, jak będzie wstępował tam, gdzie był przedtem? Duch daje życie; ciało na nic się nie przyda. Słowa, które Ja wam powiedziałem, są duchem i są życiem. Lecz pośród was są tacy, którzy nie wierzą». Jezus bowiem na początku wiedział, którzy to są, co nie wierzą, i kto miał Go wydać. Rzekł więc: «Oto dlaczego wam powiedziałem: Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli mu to nie zostało dane przez Ojca». Odtąd wielu uczniów Jego się wycofało i już z Nim nie chodziło. (J 6,60-66)

Jezusa odrzucano bo był zbyt radykalny. Teraz dzieje się tak samo. Odrzucamy, ponieważ nie lubimy się wysilać. Wolimy łatwo, miło, przyjemnie. Przy minimum wysiłku zyskać jak najwięcej. To swego rodzaju cwaniactwo, które na dłuższą metę się nie sprawdza. Stąd łatwe rozwiązania, prostsze zasady, miłsze słowa. A głosiciele całe mnóstwo i każdy chce się przebić i zająć miejsce Boga podszywając się pod niego. Człowiek ze swej natury docieka, pyta, poszukuje. To napę-

dzia zmiany i inicjuje postęp. Podobnie jest w serze duchowej. Poszukujemy prawdy na konkretny temat i pragniemy solidnych podstaw, by zapewnić sobie stabilizację. Pozornie dostęp do informacji jest łatwiejsza. Niestety, wielość źródeł powoduje że i informacje są skrajnie odmienne. Podobnie zmienia się interpretację wcześniejszych prawd.

Panuje wokół nas chaos informacyjny. Każdy słyszy co innego, choć słuchamy tych samych ludzi. Wiele wokół nas jest zamętu. Zamęt jest tam, gdzie są prawdy i półprawdy, gdzie nie ma jawnego błędu, coś jest niedopowiedziane i ukryte i czujemy, że coś jest nie tak, coś nie działa prawidłowo, coś się nie zgadza. Jest jakiś fałsz, zakłamanie. Nic nie jest jednoznaczne i niepodważalne. Rodzi się tam gdzie nie przekazuje się prawdy lecz przekonania, wywołuje się przeżycia. Ilu głosicieli, tyle przekonań. Wówczas pojawiają się wątpliwości wewnętrzne. Co tak naprawdę mamy robić, kogo słuchać, kto ma rację? Jaką drogą iść? Ten zamęt jest w naszych sercach, w naszych rodzinach, środowisku, wspólnotach. Ten zabieg jest celowy, bo niezdecydowanym człowiekiem łatwo manipulować, sterować, byle mieć lepsze sposoby marketingowe, które pochwyć nasze emocje.



Chrześcijanin nie ma powodu bać się zamętu, uczestniczyć w tym. Wystarczy, że otworzy Biblię, tam wszystko jest. Tam jest prawda, droga, wskazówki, przykazania. Po co szukać nowych religii, które może i uzdrowią człowieka ale go nie zbawią, bo nie ma tam Jezusa. Szukanie sensacji religijnych, happeningu, cu-downości nie da odpowiedzi na nasze pytania. Może nas utwierdzić w trwaniu w fałszu. Odpowiedzi udzieli tylko Jezus w Biblii. Modlitwy czy msze o uzdrowienie fizyczne i duchowe, o uleczenie relacji, przeszłości, złych więzów z ludźmi, zranień są potrzebne. Są potrzebni egzorcycyści, uwalniający ludzi od zniewoleń, dręczenia czy opętania. To są zwykłe rzeczy, które są w Kościele od zawsze. Jezus uzdrawiał tłumy, ale i jednostki. Dzieją się to nie tylko w konkretnych miejscach, poprzez wybranych ludzi. Dzieją się również podczas każdej mszy świętej ale kto w to wierzy? Znany egzorcysta zadał pytanie: dlaczego szatan nie manifestuje się w czasie niedzielnych mszy, skoro ona ma moc uwalniania? Odpowiedź była zaskakująca. Bo w czasie tej mszy były tylko 3 osoby, które wierzyły. Pytanie, czy kapłan był wśród nich. Wiele w nas „śmieci”. Pozbycie się tych złogów, które zalegają w sercu, stwarza wolną przestrzeń. Kim ją wypełnisz? Otwórz ją dla Boga. Otwórz na dobro a nie na nowego bożka. Otwórz ją naprawdę. Już św. Tomasz z Akwinu mówił: „Łatwiej dochodzi się do prawdy od błędu, niż z zamętu.” Nad błędem możemy podjąć jakąś refleksję, zastanowić się, rozpatrzyć i poprawić. Zamęt trudniej jest opanować. Człowiek łatwiej odbije się od betonu, niż od piasku, ponieważ zamiast się odbić, zapada się.

W naszym świecie, otoczeniu nie doświadczamy przemocy fizycznej ale intelektualno-duchowej. Stosuje się kłamstwo, oszustwo, manipulacje, nacisk społeczny, wykluczenie, poniżenie. Uczą nas innej „Ewangelii”. Żeby się jej ustrzec, trzeba znać swoją wiarę. Trzeba przy tym być pokornym, żeby nie zachłysnąć się własną nieomylnością i nie zająć miejsca Boga na ołtarzu. Dlatego nieustannie trzeba sięgać po słowo Boga, nieustannie upewniać się w prawdzie.

Słowa Jezusa: „Co wychodzi z człowieka, to czyni go nieczystym. Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Całe to zło z wnętrza pochodzi i czyni człowieka nieczystym » (Mk 7,20-23) są cały czas aktualne.

Przez własną głupotę żyjemy w mętnej wodzie. Nasze lenistwo, niechęć by poszukać, poświęcić czas, zastanowić się, pomodlić, przemyśleć, pcha nas w zamęt. Podobnie strach, że jak odkryjemy prawdę, to może będziemy musieli porzucić to swoje dotychczasowe „ułożone” życie, miejsce, ludzi, którzy są dla nas kotwicą zła. Lecz nie można tylko na poszukiwaniu się skupić i zatrzymać. Jak już znajdziemy, to trzeba sprzedać wszystko (zostawić, pozbyć się) i kupić to pole z drogocenną perłą. Trzeba podjąć decyzję, dokonać wyboru i trwając w tym akcie woli, podążać za słowem Jezusa, do celu. Ilu złodziei sami wpuściliśmy do swojego życia? Ilu złodziejom otworzyliśmy drzwi, że nie musieli się włamywać? Ilu zaprosiliśmy do siebie by nas okradli? Z wiary, emocji, miłości, uczuć, prawdy o nas samych, prawdy o Bogu, marzeń, pragnienia Boga. A Bóg? Czeka przed drzwiami, za którymi w najlepsze trwa złodziejska wymiana, bo nie ma tam dla niego miejsca, bo jeszcze nie teraz, bo mam czas, bo na starość, bo przeszkadza, bo wymaga...

Fałszywi prorocy, złodzieje, zamęt, pułapki świata. Jak się ustrzec? Rozeznanie. Tego nam potrzeba by się nie zgubić. Modlitwa do Ducha Świętego, by nas oświecił. Zrobmy użytek z darów jakie otrzymaliśmy na chrzcie i bierzmowaniu. Mamy je, to ich używajmy. Pozamykaliśmy je gdzieś a to niezwykle dary. Znamy słowa Faustyny, Jezu ufam Tobie. Módlmy się z ufnością o dobre wybory, właściwe decyzje, by się nie pogubić. Ojciec Dolindo przekazał podobną modlitwę, jeśli mamy problem: Jezu, Ty się tym zajmij. To nie znaczy: Ty się tym zajmij, a ja pójdę sobie na kawę czy włączę telewizor. Przekaz brzmiał wyraźnie: nie mów Mi co mam robić w twoim życiu, gdzie kierować, co ci dać. Ty rób swoje, najlepiej jak potrafisz: ucz się, walcz, studiuj, pracuj, czytaj, poszukuj, utrzymuj czystość serca, pokonuj słabości a jak masz problem, powierz Mi go a Ja zrobię swoje. Jeśli byśmy wiedzieli, że nadejdzie kataklizm i że jest miejsce, gdzie ocalejemy, każdy by tam pobiegł i zabrał najbliższych. Dlaczego więc tego nie robimy?

Zaproszenie Boga do życia to ogromna rzecz. Niezwykła. Mieć po swojej stronie Wszechmocnego. Poganie zazdrościli Izraelitom takiego Boga. Nadal zazdroścą ale i boją się takiego Boga, bo widzą, co potrafi, że jest niepokonany, że wszystko może. Nie ma rzeczy, której by odmówił swojemu dziecku. „Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!” (Mk 4,9)

Halina Lech

Komunia Święta osób z niepełnosprawnością intelektualną

(ciąg dalszy z poprzedniego wygania)

Na kryteria przygotowania do sakramentów osób z niepełnosprawnością intelektualną trzeba spojrzeć przez inny pryzmat, niż osób pełnosprawnych intelektualnie. Mniej ważny jest fakt, czy osoba z upośledzeniem umysłowym jest zdolna do przyswojenia chrześcijańskiej nauki. Ważniejsze jest to, by mogła doświadczyć poczucia, że jest kochana i sama może kochać, by przez poznanie Jezusa, wiarę w Jezusa i cały proces dydaktyczny - wychowawczy, nabrała ochoty do życia. Gotowość osoby z niepełnosprawnością intelektualną do przystąpienia do I Komunii świętej niekoniecznie musi wynikać z jej możliwości (umiejętności) odpowiadania na pytania. Ci, którzy dobrze znają osobę z niepełnosprawnością intelektualną są w stanie odczytać znaki i dźwięki, które ujawniają zrozumienie i szacunek dla tajemnicy sakramentu i pragnienie uczestniczenia w nim. Te znaki i dźwięki mogą być niezwykle, ale jednak autentyczne i wystarczające. Bo religijność to nie tylko wiedza, intelekt, ale życie i działanie, to szczególnie sposób doświadczenia Chrystusa, doświadczenia Jego bliskości, duchowej wspólnoty z Jego Osobą. Trzeba pamiętać o tym, że wiara przejawia się w życiu codziennym, że stosunek człowieka wierzącego do Boga jest ściśle związany ze stosunkiem do drugiego człowieka. Wychowanie religijne jest nieodłącznie związane z kształtowaniem postawy społecznej, z kształtowaniem umiejętności współdziałania i pomocy drugiemu człowiekowi - to jest także kryterium wiary.

Kościół wymaga, jako minimum wystarczające, by dzieci według swej zdolności potrafiły rozróżnić zwykły chleb od Chleba Eucharystycznego. Większość osób niepełnosprawnych jest w stanie podołać temu wymogowi i na swój specyficzny sposób potwierdzić tę umiejętność. Są jednak osoby z głębokim stopniem niepełnosprawności, które nigdy nie będą w stanie rozróżnić Chleba Eucharystycznego od zwykłego. Przed rodzicami, kapłanami i katechetami pojawiają się wtedy ogromne dylematy. Wówczas należy szczególnie pamiętać o działaniu Ducha Świętego i Bożej łaski stokroć silniejszej od ludzkich niedomagań i wątpliwości. Wiara rodziców dziecka, ich więź z dzieckiem i ich pragnienie łaski Eucharystii dla swego dziecka oraz deklaracja o czuwaniu nad szacunkiem dla Sakramentu powinny wystarczyć, by dziecko mogło zjednoczyć się z Jezusem w Komunii Świętej. Gdy powstają takie dylematy warto postawić sobie pytanie: Co w takiej sytuacji zrobiłby Jezus?

Przygotowanie do Sakramentu Eucharystii:

W okresie bezpośrednio poprzedzającym uroczystość I Komunii zajęcia religii odbywać się powinny tam, gdzie ta uroczystość będzie miała miejsce, w obecności kapłana, który będzie odprawiał mszę świętą. Kapłan przestaje być wtedy osobną obcą, kościół staje się miejscem znanym (można podejść blisko do ołtarza). To wszystko powoduje, że znacznie wzrasta u dzieci poczucie bezpieczeństwa. Zmniejszy się też liczba nowych elementów, które podczas mszy świętej pierwszokomunijnej rozpraszać mogą uwagę. Komunia święta ma stanowić dla osób z niepełnosprawnością intelektualną spotkanie z Chrystusem. Muszą one tego spotkania chcieć, muszą je na swój sposób przeżyć oraz cieszyć się z niego. Nie należy więc kłaść przesadnego nacisku na całą czysto wykonawczą stronę przyjmowania tego sakramentu, np.: klękanie przed pójściem do Komunii, składanie w taki, a nie inny sposób rąk, pochylenie głowy, wysunięcie języka tylko „tak”, a nie „tak” i szereg innych, nieraz tradycją rodzinną czy wspólnotową uwarunkowanych zachowań. Powoduje to skoncentrowanie się na tym właśnie, by czegoś nie zapomnieć, a sam akt jest tylko jeszcze jednym elementem sytuacji. Atmosfera, oprawa Mszy świętej ma tu oczywiście doniosłe znaczenie. Msza. św., a więc i Komunia święta muszą być wyrazem radości z autentycznego spotkania z Bogiem. Sprzyjają temu oczywiście pieśni, śpiewane głośno przez wszystkich uczestników, wzajemna życzliwość, serdecznie przekazywany znak pokoju i inne.

Jest to jednak spotkanie z Bogiem, a więc nie z byle kim! I to musi być też wyraźnie zaznaczone - między innymi przez odpowiedni strój, przesadną nieco celebrację, uroczyste zapalenie świec, przyjmowanie odpowiedniej postawy, „odczekanie” kapłana na momenty całkowitego wyciszenia, w ogóle uroczyste eksponowanie ruchu i elementów symboliki.

Pożądane jest, by ze względu na zapewnienie poczucia bezpieczeństwa dziecko przystępowało do Komunii w asyście rodziców lub rodziców chrzestnych. Dlatego też ono również powinni uczestniczyć czynnie w bezpośrednim przygotowaniu do uroczystości. Gdy nie jest to możliwe wówczas ową asystę dziecka mogą stanowić katecheci lub inni nauczyciele. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że tylko wtedy, gdy rodzice aktywnie włączają się w przygotowanie do I Komunii świętej ich dzieci, istnieje szansa, że dzieci pełniej przeżyją ten dzień.

Przygotowanie do Sakramentu Pojednania:

Sakrament Pojednania nie na próżno ma w swej nazwie „pojednanie”. W języku potocznym pojednać się to „zawrzeć pokój” kiedy się pokłóciliśmy. Grzech niszczy więc z Bogiem i ludźmi, a tylko przebaczenie i pokuta są w stanie na nowo ją naprawić. Podobnie dziecko, nawet głęboko upośledzone, dobrze wie, jak odzyskać utraconą przyjaźń kolegi, którego właśnie zlekceważyło i przede wszystkim jak przywrócić uśmiech na twarzy mamy czy taty. „Przepraszam” jest słowem, które dziecko rozumie i wypowiada. Nawet ten, który nie może mówić może poprzez gest czy pieszczotę wyrazić swoje pragnienie przeproszenia i pojednania. Dziecko niepełnosprawne intelektualnie instynktownie wyczuwa, kiedy zerwał o więź z mamą, tatą czy inną osobą. Poznaje to po reakcji danego człowieka. Wie też jak odzyskać tę utraconą więź. Odczuwa radość pojednania.

Nikt nie może sądzić o rzeczywistej winie kogokolwiek. Zwłaszcza trudno takie dziecko oceniać miarą naszych zasad. Ale uznając godność tej osoby, trzeba również uznać, że może ona czynić zło proporcjonalne do swojej osoby i za nie odpowiadać. Uznanie, że dziecko popełnia grzechy jest też uznaniem, że może czynić dobro na swoją miarę, czyli mieć jakieś zasługi, podobnie jak może „czynić zło”. To w końcu oznacza także uznanie, że istniejące w nim poczucie winy jest czymś normalnym. Jeśli dziecko niepełnosprawne potrafi odzyskać utraconą więź z drugą osobą, to również przez to dopuszczone jest do komunii z Bogiem. Pojednanie sakramentalne przynosi dziecku pokój i radość. Wystarczy spojrzeć na takie dzieci przychodzące od spowiedzi wysłuchanej przez księdza, który przyjął je przyjaźnie i potraktował poważnie.

Trzeba wyjść przede wszystkim od tego, że ludzie z niepełnosprawnością intelektualną myślą innymi niż my kategoriami, kierują się nieco inaczej zbudowaną hierarchią potrzeb bynajmniej nie dlatego, że tak chcą, lecz dlatego, że inaczej po prostu nie potrafią, nie mogą. Niewłaściwe - z naszego punktu widzenia - postępowanie osoby z niepełnosprawnością wynika najczęściej nie ze złej jej woli, lecz z braku świadomości zarówno samych czynów, jak i społecznej oceny tych czynów. Ponadto każdorazowo pragnąc stwierdzić, czy mamy w ich przypadku do czynienia z grzechem - musimy my sami zadać sobie pytania, czy działanie ich nie wynika z samej istoty upośledzenia umysłowego. Ciągłe trzeba pamiętać o zasadzie tzw. „tu i teraz”, która z reguły zdaje się kierować postępowaniem ludzi głębiej upośledzonych umysłowo.

W praktyce oznacza to, że to, co bliższe (w odczuciu tych osób) realnie dostępne, jest lepsze, ważniejsze niż to, na co trzeba na przykład zapracować.

Z praktycznego punktu widzenia można przyjąć, że osoba z niepełnosprawnością umysłową czyni świadomie coś złego (grzeszy) gdy:

- wie, że robi coś źle (wie, bo wcześniej dokonywała w analogicznej sytuacji wyboru właściwego), a robi tak dla korzyści doraźnej, na złość, z przekory;
- nie chce zrobić czegoś, co zostało jej polecane, gdyż wiąże się to z zaprzestaniem czynności przyjemnej, dającej korzyść doraźną;
- wie, że może zrobić coś dobrego, rozumie sytuację, umie to coś wykonać, lecz tego nie robi, gdyż woli zrobić coś doraźnie przyjemnego lub nie robić po prostu nic.

Spowiedź jest potrzebna nie tylko tym, którzy popełniają grzechy ciężkie i chcą odzyskać utraconą łaskę. Spowiedź pozwala również na pełniejsze otwarcie się na Chrystusa, doskonali łaski otrzymane na chrzcie świętym i dodaje sił do trwania w nich. W sakramencie pojednania nie należy osób głębiej upośledzonych umysłowo „rozliczać” z tego, co zrobili źle (gdyż wtedy przypomina im się, utrwała a czasem nawet pokazuje i sugeruje możliwość takiego postępowania), lecz raczej z tego, czego nie zrobili dobrze, mimo że mogli. Przeniesienie tego punktu ciężkości powoduje, że nie wzmacniamy złych zachowań, ale pokazujemy, jakie powinny być te dobre.

W interesie rodziców, wychowawców i przyjaciół jest nawiązanie kontaktu z księdzem jeszcze przed spowiedzią dziecka. Powinni oni pomóc mu zrozumieć sposób, w jaki wyraża się ono przy pomocy słów i gestów, przybliżyć mu jego sytuację życiową, wyjaśnić wielkie i małe wydarzenia z jego życia, które mogły go naznaczyć.

Dzieci i osoby z niepełnosprawnością intelektualną bądź ze spektrum autyzmu są bardzo szczerze i autentyczne w swoich zachowaniach. Od wielu z nich moglibyśmy się uczyć prostoty, „serca na dłoni” i „prawdziwego oblicza” bez nakładania masek. Nie zabraniajmy im przychodzić do Jezusa ale też okażmy więcej zrozumienia dla ich odmiennego sposobu wyrażania swojej wiary czy emocji.

S. Renata Suchy

JUBILEUSZ 50 – LECIA ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH

Ks. KANONIKA KAZIMIERZA LEWCZAKA

**„Cóż wielkiego, że służę Tobie,
któremu wszelkie stworzenie służyć powinno”.**

kard. August Hlond

Te słowa wielkiego kardynała Augusta Hlonda, które zamieściłem na swoim prymicyjnym obrazku, towarzyszyły mi przez całe życie czynnego kapłańskiego życia. Były dla mnie pomocą zwłaszcza wtedy, gdy wydawało mi się, że misja, którą powierzył mi Pan znacznie mnie przerasta a ja, zwykły człowiek nie jestem w stanie sam jej podjąć. Niech tych kilka słów wspomnień z mojego kapłańskiego życia będzie najpierw dziękczynieniem Panu Bogu za ogrom łask, którymi mnie przez te ostatnie pięćdziesiąt lat obdarzał a także inspiracją i zachętą dla ludzi młodych, którzy słyszą głęboko w sercu głos Bożego wezwania lecz nie mają dość odwagi, by pozytywnie odpowiedzieć na zaproszenie Chrystusa: „Pójdź za Mną”. Niech to wspomnienie będzie także ukłonem w stronę świeckich ludzi, którzy w trakcie mojego posługiwania kapłańskiego otwierali szeroko swoje serca i obdarzali mnie pomocą oraz życzliwością.

Do seminarium przemyskiego wstąpiłem w roku 1963. Jednak pierwszym i ważniejszym seminarium był dla mnie dom rodzinny, „gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła w polskiej mnie mowie pacierza uczyła”. Przez całe kapłańskie posługiwanie aż do dziś, z wielką estymą wracałem i wracam do rodzinnej parafii Blizianka, bo „kraj lat dziecięcych, on zawsze zostanie, święty i czysty jak pierwsze kochanie”. To tam na niebyleckiej ziemi od najmłodszych lat kielkowało we mnie ziarno wiary, które z czasem przerodziło się w mocne pragnienie pójścia za głosem Pana. Dlatego nie mogę nie wspomnieć o zacnych rodzicach, którzy nauczyli mnie czym jest wiara, Kościół i szacunek do drugiego człowieka. To dzięki ich wychowaniu i za łaską Bożą szczęśliwie przeżyłem w świętym kapłaństwie 50 lat. Ufam, że dobry Bóg, otworzył im za ten trud szeroko bramy swojego Królestwa.

Jak wcześniej wspomniałem, po sześciu latach

formacji intelektualnej, duchowej i ludzkiej w roku 1969, w sobotę 24 czerwca o godz. 17.00, leżąc na posadzce kościoła w Zaborowie, Chrystus Najwyższy i Wieczny Kapłan podzielił się ze mną swoją misją głoszenia Słowa i szafowania Świętych Sakramentów. Do grona kapłanów przemyskich przez włożenie rąk i namaszczeniem świętym olejem włączył mnie ks. bp Stanisław Jakiel. Wraz ze mną święcenia otrzymało 22 diakonów. Zarówno ja, jak i moi koledzy z seminarijnego wieczernika z uznaniem wpatrywaliśmy się w wielką postać świętobliwego rektora naszej uczelni ks. dra Michała Jastrzębskiego, który uczył nas na własnym przykładzie, że aby wymagać od innych, trzeba najpierw zacząć od siebie. Był dla nas niedoścignionym wzorem człowieka modlitwy, punktualności i pracowitości.

Wraz z otrzymaniem święceń kapłańskich każdy z nas został skierowany przez ks. abpa Ignacego Tokarczuka do pracy na różnych parafiach. Wszyscy zgodnie przyjmowaliśmy wolę Księdza Arcybiskupa jako wolę Boga samego. Nikt nie wyobrażał sobie, by można było tę decyzję podważać bądź okazać swoje nieposłuszeństwo. Z radością w sercu i wielką gorliwością podjęliśmy zatem pracę na niwie Pańskiej.

Moją pierwszą parafią była podrzeszowska miejscowość Rudna Wielka, gdzie proboszczem był ks. Antoni Olejarka. Parafia Rudna Wielka swym zasięgiem terytorialnym obejmowała trzy wioski: Rudna Mała, Pogwizdów i Rogoźnica. Warunki katechizowania były tam bardzo trudne. Salką katechetyczną był wówczas zimny budynek gospodarczy. Były to moje pierwsze kroki kapłańskiego posługiwania, dlatego czas spędzony tam wspominam miło, gdyż wiele się tam nauczyłem.

Z dogodnych i prawie miejskich warunków parafialnych Pan posłał mnie na drugą parafię w same Bieszczady

do parafii Komańcza. Spotkałem tam bardzo sympatycznego i życzliwego, jednak wątłego zdrowia proboszcza – ks. Stanisława Porębskiego. Pracy tutaj nie brakowało. Wraz z proboszczem odwiedzaliśmy pobliskie wioski. Były to m.in.: Wisłok Wielki, Radoszyce, Smolnik. Jedynym środkiem lokomocji ze względu na błotniste drogi były furmanka i rower. A nawet gdy i one zawiodły – pozostawały zdrowe i młode nogi. Po misyjnych wręcz doświadczeniach w Komańczy Pan Bóg spojrział na mnie litościwym okiem, kierując mnie do pracy wikariuszowskiej na Sanocką Posadę. Proboszczem tutaj był wówczas ks. prałat Kazimierz Pyś. Do parafii należały Zahutyń i Dolina, które trzeba było objąć troską duszpasterską. Proboszcz mając do dyspozycji trzech wikariuszy (mnie, ks. Władysława Kordasa i ks. Stanisława Putylę) sam świetnie sprawdzał się w wydawaniu poleceń i organizowaniu nam różnych zajęć.

Ostatnim przystankiem na drodze wikariuszowskiego posługiwania była parafia Jedlicze. Spędziłem tam niecałe dwa lata. Okres pobytu tam, wspominam jako czas wytężonej pracy katechetycznej i duszpasterskiej wśród „nafciarzy” i pracowników fizycznych. W mojej pamięci pozostaje piękny kościół z polichromią profesora Zina. Była to bardzo duża parafia, która w konsekwencji została podzielona na trzy mniejsze. W ciągu trwającego roku szkolnego zostałem przeniesiony jako wikariusz do Grabownicy z misją tworzenia i organizowania nowej parafii w Niebocku. Czas ten pamiętam jako bardzo miły, gdyż wielkim pragnieniem tamtejszych mieszkańców było posiadanie własnego kościoła. Pokonywali wielkie trudności w zdobyciu materiałów, których wówczas nie było. Z wielkim zaangażowaniem włączali się w prace budowlane przy nowo powstającym kościele, a także plebanii i cmentarzu. 20 października 1981 roku to dzień poświęcenia kościoła przez ks. abpa Ignacego Tokarczuka. Biskup mianował mnie proboszczem nowo powstałej wspólnoty parafialnej, gdy miałem 9 lat kapłaństwa. Tym samym rozpoczęła się praca duszpasterska połączona z wykańczaniem wnętrza kościoła i plebanii oraz ogrodzenia cmentarza. Wielkim przeżyciem dla mnie jako młodego proboszcza i dla tamtejszych mieszkańców były uroczystości odpustowe, pierwszokomunijne i wydarzenia związane z życiem parafii. Zwieńczeniem tych wszystkich wydarzeń były dla mnie prymicje tamtejszego rodaka – ks. Roberta Gazdowicza.

Dziewięć lat pracy na nowej parafii zakończyło się przeniesieniem do Rokietnicy, gdzie przez 27 lat, aż do emerytury, byłem proboszczem i dziekanem dekanatu Pruchnik. Święta za świętami, misje za misjami, rekolekcje za rekolekcjami – to wszystko się powtarza. Zmieniają się ludzie, kapłani a praca dla Pana Jezusa pozostaje taka sama. W trakcie mojego pobytu tam, każda wioska należąca do parafii Rokietnica wybudowała swój kościół, w którym liturgię i sakramenty sprawowali duszpasterze z Rokietnicy.

Dwadzieścia siedem lat pracy w Rokietnicy, w tym dwadzieścia pięć lat dziekaństwa w dekanacie Pruchnik (13 parafii) oraz czterdzieści siedem lat kapłaństwa to wystarczająco dużo, aby zrobić miejsce młodszemu od siebie. Dlatego zrzuceniem Opatrzności na czas emerytury powróciłem do Sanoka – Posady. Mam nadzieję, że w tym mieście i w tej parafii Pan Bóg, pozwoli mi szczęśliwie ukończyć bieg, którego metą jest zbawienie moje a także tych, dla których byłem posłany.

Wielka wdzięczność w sercu, wielkie uwielbienie dla Pana Boga za to, że wytrwałem w powołaniu, że nie zdradziłem Chrystusa i Jego Kościoła. Oby świadectwo mojego życia i posługi, było umocnieniem dla młodszych współbraci w kapłaństwie, że powołanie można zrealizować pięknie tylko wtedy, gdy wiernie trwa się do końca przy Bogu w Jego Świętym Kościele. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek indziej cisną się na me usta słowa piosenki:

„Jak Ci dziękować - żeś mi dał tak wiele, Iż jestem w życiu jak ów gość przygodny, - Co zaproszony został na wesele Niespodziewanie i nie odszedł głodny. Duszą spokojną wstecz się nie oglądam Za przeszłym życiem, które już nie wróci. I w swej radości niczego nie żądam, Tylko dziwuję się, że radość smuci. Jesień na złotą pogodą się głosi, O pełnym ciszy, łagodnym wieczorze. I rozczulone serce moje wznosi Okrzyk zachwytu - "Dziękuję Ci Boże"”

Dziękuję Ci Boże za kapłaństwo, gdyż życia swojego oraz posługiwania dla Ciebie i Twojego Kościoła nie zamieniłbym na nic innego!

ks. Kazimierz Lewczak

Mama w obozowym pasiaku

Wspomnienie o Stanisławie Leszczyńskiej

2 maja 1982 r. na Jasnej Górze z okazji jubileuszu sześćsetlecia Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, zostało złożone wotum kobiet polskich – Kielich Życia. Dar ten wyraża afirmację powołania kobiety do macierzyństwa i jest wezwaniem do modlitwnej krucjaty w obronie poczętego życia, a tym samym sprzeciwem wobec każdej indywidualnej i społecznej nieakceptacji dziecka. Na jubileuszowym Kielichu Życia widnieją wyrzeźbione postacie św. Jadwigi Śląskiej, św. Jadwigi – królowej, bł. Teresy Ledóchowskiej i Stanisławy Leszczyńskiej – położnej. Obok księżnej, królowej, mniszki i założycielki zgromadzenia do pracy misyjnej w Afryce znalazła się nie przypadkowo więźniarka kacetu z Oświęcimia.

Kim była ta kobieta w pasiaku, którą ukazano jako symbol ofiarnego macierzyństwa i pomieszczono na jubileuszowym wotum maryjnym?! Stanisława Leszczyńska przeszła przez życie cicho i skromnie, pogodna i uboga duchem. W chwili najtrudniejszej próby życiowej, wtrącona na dno ludzkiej egzystencji w „piekle” oświęcimskim, potrafiła przywrócić poczucie godności ludzkiej istotom poniżonym i zniewolonym przez obozowy terror i kolczaste druty. Współwięźniarki nazywały ją Mamą. „Mamą” też pozostała na zawsze dla garstki dzieci urodzonych i ocalonych z obozu oświęcimskiego.

Stanisława Leszczyńska dla udęczonej, zboliałej kobiety stała się „Mamą”. „Ona znajdowała czas i siłę nie tylko na ratowanie naszego zdrowia i życia naszych dzieci – wspomina M. Salomon, więźniarka nr 86594 – ale ratowała też naszą wiarę w Boga, w ludzi. I to może było ważniejsze niż chleb. Przy „Mamie” przestawało się być zaszczytnym zwierzęciem. Stawało się znowu człowiekiem. Łatwiej było znieść tę całą mękę”. Dr E. Pawłowska z Łodzi wspomina duchowość „Mamy” i organizowane przez nią nabożeństwa obozowe: „Mało, że sama wierzyła, ale umiała tą swoją wiarą przekonywać innych i dać im jakby spokój, urządzić swoje osobiste modlitwy tak, że to się udzielało innym. Tam było wiele grup, które zbierały się na te nabożeństwa majowe. Z tych, które pamiętam, było właśnie to, że ja chętnie chodziłam do tej sztuby, bo tam to się odbywało ładnie. „Mama” intonowała jakąś modlitwę, potem się śpie-

wało (...) i to była ta chwila, jakieś 15 minut, pół godziny, i to był spokój. To był taki specyficzny klimat, który stwarzała”.

Dla kobiet stłoczonych w bloku rewirowym, chorych, oczekujących porodu lub już w położu były to momenty odprężenia, chwile wyzwolenia z brutalności świata drutów. Jedną z matek obozowych tak wspomina ten czas ukojenia wyrwany okrutnej rzeczywistości: „We wszystkie niedziele [Leszczyńska] „odprawiała” dla nas „mszę”. Mówiła ją wierszem. Zapamiętałam tylko krótki fragment: „O Panie, Ty widzisz łzy nasze. Ty znasz nasze winy, gdy bije godzina prób ciężkich”. Wszystkie w ciszy płakałyśmy. „Msza” zaczynała się od tego, że wychodziłyśmy przez bramę więzienną, szłyśmy przez pola, poprzez ścieżki do wiejskiego kościółka. Tę „mszę” napisała w więzieniu jakaś nauczycielka z kresów. W drodze wymiany więźniów znalazła się w Oświęcimiu. Od niej pani Stanisława nauczyła się tej „mszy” na pamięć.



W archiwum rodzinnym Leszczyńskich znajdują się wspomnienia Stanisławy o obozowych nabożeństwach majowych. Od najwcześniejszych lat ukochała Matkę Bożą, a nabożeństwa majowe stały się u Leszczyńskich świętem rodzinnym. Stanisława Leszczyńska nigdy nie przypuszczała, że profesja położnej zawiedzie ją do bram Auschwitz, Zabrana ze swojego domu z okolicy, gdzie regularnie przyjmowała porody, często przemierzając pieszo wiele kilometrów, aby do nich dotrzeć, została wrzucona w koszmarny krajobraz obozu zagłady. Po śmierci zamordowanego wcześniej męża, brutalnym rozdeleniu z oddelegowanym do innego obozu synem, Stanisławie i jej córce pozostała tylko jedna nadzieja: przeżyć! Niemal natychmiast okazało się, że zawód Stanisławy może być jednocześnie ratunkiem.

Kobięcy blok w Oświęcimiu nie posiadał nawet podstawowego zabezpieczenia medycznego, nie wspominając o wsparciu dla ciężarnych matek. Pragmatycznie myśląca i obrotna Stanisława sprawiła, że prycze w najcieplejszym miejscu w baraku zostały zarezerwowane na „oddział porodowy”. Dużo kobiet przywożono do obozu już w ciąży (niektóre tego nieświadome). Oznaczało to wiele poświęceń w obozowej rzeczywistości. Ciężarnym matkom tuż przed porodem narzucone były zmniejszone racje żywnościowe w zamian za dodatkowe prześcieradła, które potrzebne były na pieluszki i do owinięcia noworodka. Gdy nie zdobyto ich na czas, dziecko było często otulane brudnym papierem. Jedyłą misją Stanisławy, mimo otaczającego ją koszmaru, było otoczenie rodzących kobiet możliwie najlepszą opieką. Współtowarzyszki z obozu zapamiętały ją jako tą, która nieustrudzenie i praktycznie bez odpoczynku wspierała rodzące. Była oazą spokoju dla wszystkich uwięzionych kobiet.

Stanisława musiała walczyć nie tylko z własnym głodem i wyczerpaniem. Jako położna, nie miała dostępu do żadnego sprzętu medycznego, nawet bandaży. Niemożliwe było podanie jakichkolwiek środków przeciwbólowych podczas porodu, a wszystkie działania były dokładnie nadzorowane przez nazistowskich lekarzy. Wszyscy opiekujący się więźniami, znający na medycynie musieli zdawać szczegółowe raporty swoim oprawcom. Kiedy wyszło na jaw, że nie stracono życia ani jednej matki i dziecka od kiedy

Stanisława przybyła do obozu, ich reakcją było niedowierzanie a zaraz potem rozkaz: noworodki należy topić w beczkach z wodą natychmiast po urodzeniu. Stanisława, ryzykując życie, stanowczo odmówiła: „Życie ludzkie należy ratować i chronić”. To właśnie ona odpowiedziała obozowemu lekarzowi w esesmańskim mundurze dr Mengele, gdy ten kazał jej zabijać nowonarodzone dzieci: „Nie, nigdy. Nie wolno zabijać dzieci!”. Pomimo straszliwych warunków, dzięki Jej pomocy, tysiące dzieci nadal przychodziło na świat. Niemowlęta z dobrym aryjskim wyglądem zaczęto wysyłać do sierocińców w Niemczech. Matki, przechodzące tragedię separacji, wymyśliły wraz ze Stanisławą metodę tatuowania niepozornych znaków na ciele swoich noworodków. Dawało to nadzieję na ponowne spotkanie w przyszłości. „Mama” Stanisława, której udało się przyjąć ponad trzy tysiące porodów podczas uwięzienia w Auschwitz, bardzo rzadko wypowiadała się na ten temat publicznie. Każde nowo narodzone dziecko położna natychmiast chrzczyła z wody. Była bardzo pobożna, dużo się modliła, rano, wieczorem, przed posiłkami i pracą. Zazwyczaj do Matki Bożej. Zawsze kreśliła też znak krzyża nad rodzącą i noworodkiem. To mocne świadectwo dodawało jej samej sił i jej współtowarzyszkom niedoli.

Kiedy wyzwolono Auschwitz, Stanisławie udało się odnaleźć swoje dzieci, które zostały lekarzami. Położna zaczęła dzielić się swoimi wojennymi przeżyciami dopiero po przejściu na emeryturę w latach pięćdziesiątych. Wszystkie wspomnienia „Mamy” oraz jej współwięźniów zostały użyte w procesie beatyfikacyjnym Stanisławy Leszczyńskiej jako świętej, który rozpoczął się w 2010 roku. Niezlomna położna zmarła w 1974 roku. Jej historia jest prawdopodobnie jednym z najbardziej niezwykłych świadectw ludzkiego męstwa z czasów zagłady. Mimo, że wiele z 3000 noworodków urodzonych w Auschwitz zostało zamordowanych przez nazistów lub zmarło z powodu straszliwych warunków, wszystkie one przyszły na świat prosto w pełne miłości, ciepłe ręce Stanisławy Leszczyńskiej obozowej „Mamy” nr 41335, dziś Sługi Bożej.

oprac. Halina Martowicz

Przepis Agaty

KRUSZONKA Z MALINAMI



Składniki:

4 duże jajka, białka i żółtka oddzielnie

3/4 szklanki drobnego cukru do wypieków

pół szklanki oleju rzepakowego (125 ml) lub roztopionego, przestudzonego masła

1,5 szklanki mąki pszennej

1,5 łyżeczki proszku do pieczenia

kilka kropel ulubionego aromatu lub 1 łyżeczka ekstraktu waniliowego

*500 - 600 g dowolnych owoców (u mnie truskawki)**

cukier puder do oprószenia

Przygotowanie

Wszystkie składniki powinny być w temperaturze pokojowej. Mąkę i proszek do pieczenia przesiać, odłożyć.

Do miski miksera wbić białka i ubić na sztywną pianę, pod koniec ubijania dodając stopniowo cukier, co ważne - łyżka po łyżce, cały czas ubijając. Powinna powstać gęsta, błyszcząca pianka. Dodać żółtka i zmiksować do połączenia. Do miksowanej

masy strużką wlewać olej, nie zaprzestając miksowania. Dodać aromat i ubić. Pianka zmniejszy swoją objętość, jednak nadal będzie bardzo gęsta.

Do tak przygotowanej piany dodać przesianą mąkę z proszkiem, wymieszać delikatnie szpatułką, do połączenia.

Formę z odpinaną obręczą o średnicy 23 - 25 cm wyłożyć papierem do pieczenia, sam spód. Przełożyć do niej ciasto, wyrównać. Na górę wyłożyć owoce, wciskając je lekko do środka (u mnie - truskawki były do połowy zanurzone w surowym cieście).

Piec w temperaturze 175°C przez około 1 godzinę lub do tzw. suchego patyczka.

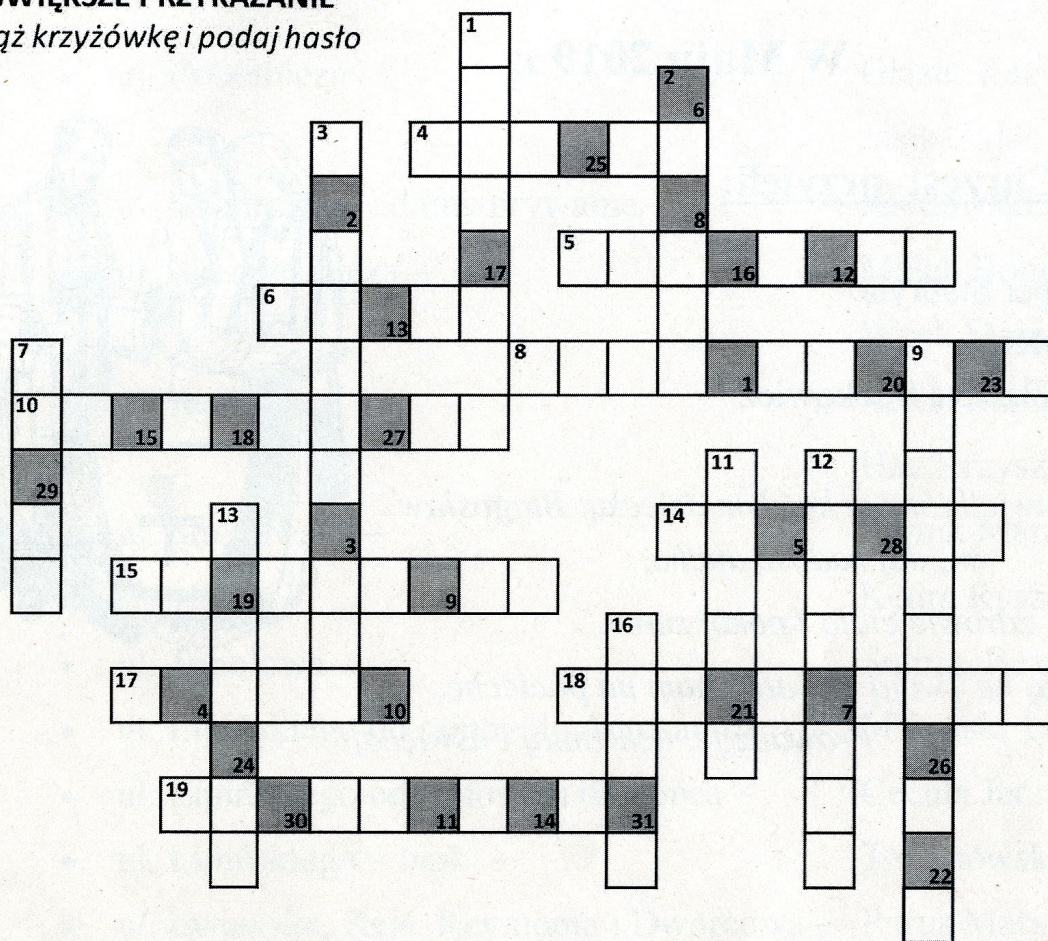
Ciasto wystudzić, oprószyć cukrem pudrem.

* Postępowanie z mrożonymi owocami: dodajemy ich maksymalnie 500 g, nie ma konieczności wcześniejszego rozmrażania. Oprószyć je mąką pszenną. Ciasto z owocami mrożonymi będzie się piekło dłużej niż takie samo ciasto z owocami świeżymi.

życzę smacznego

NAJWIĘKSZE PRZYKAZANIE

rozwiąż krzyżówkę i podaj hasło



Hasło:

1	2	3	4	5
6	7	8	9	
10	11	12	13	
14	15	16	17	18
19	20	21	22	23
24	25	26	27	28
29	30	31		

1. Inaczej „mówić nieprawdę”
2. Od czego był niedaleko uczony w Piśmie? Od Królestwa ...
3. O co jeden z uczonym w Piśmie zapytał Jezusa? Które ... jest pierwsze ze wszystkich
4. Jak mamy kochać bliźniego? Jak siebie ...
5. O co jeden z uczonym w Piśmie zapytał Jezusa? Które przykazanie jest ... ze wszystkich
6. Inaczej „zadać pytanie”
7. Przeciwnieństwo „zły”
8. Co uczony w Piśmie powiedział o miłości do bliźniego? Że bliźniego miłować jak siebie samego, to znaczy więcej niż wszystkie ... i ofiary
9. Jak uczony w piśmie zwrócił się do Jezusa?
10. Inaczej „mówić, gdy ktoś nam zadaje pytanie”
11. Przeciwnieństwo „kłamstwo”
12. Inaczej „starać się coś zrobić”
13. Inaczej „kochać”
14. Co opiera się na tych dwóch największych przykazaniach? Cały zakon i ...
15. Kogo powinniśmy kochać jak siebie samego?
16. Imię autora jednej z ewangelii
17. Jak mamy kochać Boga? Z całego serca swego i z całej duszy ..., i z całej myśli swojej
18. Inaczej „chcieć czegoś, co należy do kogoś innego”
19. Kto zgromadził się wokół Jezusa, żeby zadawać Mu trudne pytania?

Kochane Dzieci!!

Imię i nazwisko wraz z hasłem prosimy zapisać na oddzielnej kartce i wrzucić do koszyka na ołtarzu Bożego Miłosierdzia

Losowanie nagrody na Mszy św. o godz. 10.00 w niedzielę - 23 czerwca 2019

W Maju 2019 r.

Chrzest przyjęli:

Oliwier Kacper Stabryła
Franciszek Menet
Aleksandra Elżbieta Sobkowicz

*Boże bądź uwielbiony w każdym dziecku. Błogosław
im, daj radość ducha,
zdrowie ciała i pokój serca.*

*Niech żyją na Twoją chwałę i nam na pociechę.
Prowadź je, ochraniaj i uświęcaj.*



Sakrament małżeństwa

Jagoda Mączałowska i Rafał Jach



Odeszli do Pana po wieczną nagrodę:

Wiesław Kusior
Edward Soliński
Edward Hnat

*Boże polecamy Tobie naszych zmarłych i prosimy Cię, Ojcze pełen
miłosierdzia, odpuść im grzechy, które popełnili z ludzkiej ułomności,
aby umarli dla świata żyli dla Ciebie.*

NOWA RADA PARAFIALNA

- | | |
|--|----------------------|
| • ul. Robotnicza – | Glazer Kazimierz |
| • | Jasik-Zajac Sabina; |
| • ul. Robotnicza – domy prywatne – | Kłodowski Krzysztof; |
| • ul. Rzemieślnicza – | Małek Bogumiła |
| • | Wnęk Stanisław; |
| • ul. Wolna – | Kuzio Stanisław |
| • | Hac Krzysztof; |
| • ul. Stróżowska – | Syrnik Mariusz |
| • | Kędra Ryszard; |
| • ul. Topolowa – | Sulima Beata; |
| • ul. Lipińskiego do rampy do Autosanu – | Milewski Lech; |
| • ul. Lipińskiego od Autosanu do końca – | Cecula Jerzy; |
| • ul. Lipińskiego – bloki – | Trojanowska Barbara; |
| • ul. Lwowska, Reja, Reymonta i Dworcowa – | Pitrus Marian; |
| • Szklana Górka z ul. Kołłątaja – | Klimiuk Justyna |
| • | Tymoczko Ryszard; |
| • ul. Okrzei, Kluski, Nowa, Wierzbowa – | Gawlewicz Janusz; |
| • Wilcza, Rysia, Sowa – | Roś Janina; |
| • ul. Akacyjowa, Murarska, Zagórska – | Góral Maria; |
| • Stróże Wielkie – | Przystaś Eugeniusz; |
| • Łany – | Kopczak Czesława; |

Łącznie z każdego rejonu zostało wybranych przez parafię 21 osób.

Jednocześnie korzystając z prawa, jakie przysługuje proboszczowi zostali powołani:

Ziobro Jolanta, Lech Halina, Olejko Józef, Lipiński Jacek, oraz Smuga Witold.

Nasza Rodzina

Redaktor naczelny: Ks. Andrzej Szczepiek
Współpraca: Halina Lech, Halina Martowicz
Skład: Jacek Lipiński
e-mail: naszarodzina@nspj-sanok.pl
Strona parafialna: www.nspj-sanok.pl

*Parafia Rzymskokatolicka
 pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa
 38-500 Sanok, ul. Lipińskiego 54
 tel: 48 784 131 788
 Do użytku wewnętrznego*



НОВА РАДА ПАРАФІАЛНА



Several documents and papers are scattered on the table in the foreground, including what appears to be a certificate or official document.